

## **Małgorzata Wołczyk: Orwell w Hiszpanii, czyli jak Zapatero urządził Hiszpanów**

Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że jednym z solidnych powodów katastrofy demograficznej w Hiszpanii jest uchwalona w 2004 roku przez ekipę premiera Zapatero ustawa o przeciwdziałaniu przemocy „na tle płciowym” – przekonuje Małgorzata Wołczyk, opisując zmiany zachodzące w hiszpańskim społeczeństwie.

„Opisz to wszystko – mówi mi znajomy Hiszpan – przecież Wy tam w Polsce jeszcze nie zwariowaliście. Jeszcze macie czas”. Trudno nie mieć wrażenia, że ktoś tu odrobinę histeryzuje. A jednak faktem jest, że jak dotąd żadna gmina w Polsce nie organizowała jeszcze warsztatów masturbacji dla małoletnich pod hasłem „Przyjemność jest w twoich rękach”. A takie to między innymi kursy proponował młodzieży od lat 14 już w 2009 r. Zarząd regionu Extremadury za pośrednictwem feministycznego „Instytutu Kobiety”. Włodarze tego zakątka Hiszpanii dotkniętego wówczas największym bezrobociem uznali widocznie, że sprawy należy wziąć w swoje ręce... po swojemu. Minęło parę lat i już nawet rodzice posyłający dzieci do szkół katolickich wymieniają w mediach społecznościowych informację na temat edukatorów seksualnych, którzy niespełna 12-latkom oferują przyspieszony kurs całej gamy możliwości osiągnięcia stanów ekstatycznych (tzw. „chochocharlas”). Wszystko oczywiście dzieje się pod auspicjami programów rządowych, które uznały, że jedynym sposobem walki z aktami przemocy i gwałtów dokonywanych w coraz młodszym wieku jest systematyczne... mówienie o seksie nawet w edukacji wczesnoszkolnej.

Problem w tym, że im więcej indoktrynuje się narzuconą ministerialnymi zarządzeniami ideologią gender, tym bardziej maleją wskaźniki urodzeń a kraj pogrąża się w tzw. wojnie płci.

Jak podał w listopadzie jeden z głównych dzienników prasowych „ABC”: w stolicy kraju zarejestrowano dwa razy więcej psów niż dzieci (281.339 pupilów kontra 141.903 dzieci do lat 4). „Hiszpania umiera” – alarmują ostatnio media i przytaczają zasmucające dane, w których wskaźnik urodzin spadł do najniższego poziomu z 1941 r. kiedy to kraj wciąż powstawał ze zgliszczy wojny domowej. Liczba zgonów przewyższa liczbę urodzeń. Statystyczna kobieta rodzi po 32 roku życia pierwsze i zazwyczaj jedyne dziecko (wskaźnik urodzin to 1,37 przy czym rodzą głównie imigrantki). Jak podaje kataloński portal „Somatemp”, kobieta katalońska rodzi średnio 1,1, ale jej muzułmańska sąsiadka osiąga wskaźnik nawet 8,1. Fakt, że Katalonię już w 2080 będzie zamieszkiwała większość muzułmańska wydaje się być wszystkim znany i powszechnie akceptowany. Nie po to jednak separatyści z Barcelony ściągali i nęcili przybyszów z Maroka, żeby martwić się o demografię za parę pokoleń. Plan zakładał zdobycie dodatkowych rąk do głosowania w referendum niepodległościowym i takie krzyżyki na karcie do głosowania zapewnili im właśnie tzw. „Nous Catalans” (czyli nowi Katalończycy z Magrebu).

Kobiety nie chcą rodzić dzieci, mężczyźni nie chcą zakładać rodzin. Powodów, dla których „tradycyjna” rodzina w Hiszpanii zaczyna być zjawiskiem na wyginięciu jest wiele, wśród nich strukturalne bezrobocie, świeżo przeżyty kryzys ekonomiczny, który dał Hiszpanom i po kieszeni i po nadziejach, że uda im się żyć tak lekko i stabilnie jak to mieli zapewnione ich dziadkowie i rodzice. Czy ktoś w Europie jeszcze pamięta, że ów zniechęcony (ale dopiero po śmierci!) Franco

*Im więcej indoktrynuje się narzuconą ministerialnymi zarządzeniami ideologią gender, tym bardziej maleją wskaźniki urodzeń a kraj pogrąża się w tzw. wojnie płci*

był autorem słynnego „cudu gospodarczego”, gdy Hiszpania po zniszczeniach wojennych stała się 8 potęgą gospodarczą świata z zerowym bezrobociem, pełnią praw pracowniczych,

boomem mieszkaniowym i pokojową transformacją w monarchię parlamentarną, która pozwoliła zagoić rany po bratobójczej wojnie...

Można jednak śmiało zaryzykować twierdzenie, że jednym z solidnych powodów katastrofy demograficznej jest uchwalona w 2004 r. przez ekipę premiera Zapatero ustawa o przeciwdziałaniu przemocy „na tle płciowym”. Zdziwiłby się jednak ten, kto uważa że socjaliści obronili w ten sposób życie wielu niewiast narażonych na furię hiszpańskiego macho, który przemoc ma ponoć immanentnie wpisana w swoje geny, tak przynajmniej głosi ustawa. Przy całym skomplikowaniu kwestii, o które zahacza to prawo – jedno jest pewne: ofiar przybywa. I to po obu stronach. Któż rozsądny, zwłaszcza w kraju nad Wisłą, gdzie tak szwankuje prawo chroniące kobiety przed przemocą domową mógłby wątpić w jak najlepsze intencje ustawodawców hiszpańskich? A jednak, jak zauważył już dużo wcześniej ich uzdolniony krajan „gdy rozum śpi budzą się demony”.

Skupmy się jednak na faktach i danych, wokół których toczy się ostatnio dyskusja w Hiszpanii. Dziwnym trafem przy powstawaniu ustawy antyprzemocowej nikt nie zauważył, że staje ona w jawnej

sprzeczności z artykułem 14 Konstytucji hiszpańskiej, która mówi o równości wszystkich obywateli przed prawem niezależnie od urodzenia, rasy, wyznania, płci etc. Ustawa zwana „pozytywnie dyskryminująca” zawiera jednak już w 1 artykule dziwaczne stwierdzenie, jakoby mężczyźni będący w związku z kobietą pozostawali w relacji władzy i siły. Artykuły ustawy przeciwko przemocy na tle płciowym traktują właściwie każdego, kto urodził się mężczyzną jako potencjalnego gwałciciela i mordercę, de facto więc kryminalizują osobę przez sam fakt urodzenia się z chromosomem Y. Za sprawą „tradycyjnych ról hetero patriarchatu kobieta znalazła się w gorszej pozycji poddania i uległości” (cytaty z ustawy). Walka o przywrócenie równości musi być więc wymierzona w jej ciemność i choć nie ma nigdzie napisane *expressis verbis*, że jedynym podejrzanym jest biały heteroseksualny mężczyzna, praktyka tego prawa pokazuje, że mężczyźni spoza tego zbioru traktowani są inaczej. Ktokolwiek zna Hiszpanię bliżej wie, że akty przemocy popełnione przez rodowitych Hiszpanów zyskują z miejsca ogromny rozgłos. Przemoc, której dopuszczają się przybywający szeroką falą nielegalni imigranci zostaje przemilczana. I choć tajemnicą poliszynela jest wiedza o tym, że blisko 40 % zarejestrowanych gwałtów popełniają imigranci stanowiący ledwie 8% społeczeństwa hiszpańskiego nie wolno o tym mówić na głos, aby nie narazić się na zarzut podżegania do ksenofobii.

Wśród wielu protagonistów medialnego zamieszania jest też były sędzia, a od paru miesięcy także przewodniczący prawicowej partii VOX w Andaluzji Francisco Serrano Castro, który przez 21 lat orzekał w wyrokach dotyczących przemocy wobec kobiet. Był na tyle skuteczny, że w 2001 otrzymał nagrodę stowarzyszenia kobiet AMUVI za „pracę i poświęcenie na rzecz kobiet maltretowanych i gwałconych”. Od kiedy jednak przyszło mu orzekać na podstawie ustawy Zapatero (od 2004) stał się najgłośniejszym jej krytykiem nazywając ją totalitarną i

*Artykuły ustawy przeciwko przemocy na tle płciowym traktują właściwie każdego, kto urodził się mężczyzną jako potencjalnego gwałciciela i mordercę, de facto więc kryminalizują osobę przez sam fakt urodzenia się z chromosomem Y*

dyskryminującą ze względu na płeć, za co przyszło mu zresztą zapłacić najwyższą stawkę. Lobby genderowe zaskarżyło jeden z jego werdyktów i został karnie odsunięty od zawodu, by dopiero po 5 latach zostać zrehabilitowanym przez Trybunał

Konstytucyjny. Upadek jego długoletniej kariery i nieposzlakowanej opinii podzielał jak straszak na całe środowisko sędziowskie. Według Serrano, który samotnie podjął walkę (i przegrał) z systemem penalizującym ze względu na płeć zaledwie 1% procesów dotyczył autentycznej męskiej, agresywnej dominacji, podczas gdy przygniatająca większość spraw procesowych, to „kłótnie równego z równym”.

Kobiety, świadome, że prawo z góry je faworyzuje zaczęły używać go instrumentalnie i bezkarnie wobec mężczyzn, których chciały pozbyć się z życia, z domu a także pozbawić majątku i prawa do opieki nad dziećmi. Za sprawą ustawy o przeciwdziałaniu przemocy Hiszpania stała się jedynym krajem na świecie, gdzie obowiązywać zaczęło domniemanie WINY. Oczywiście winny a priori był zawsze mężczyzna i o dziwo aż w 50% jego „maczystowskie” skłonności wychodziły na jaw dopiero przy okazji procesu rozwodowego, a choćby i po 20 latach wspólnego udanego pożycia. Tak przynajmniej tzw. półgębkiem szacują

sędziowie, którzy zauważyli dziwny zbieg okoliczności: zawiadomienia o „maltretowaniu” zbiegały się z sytuacją rozstania w związku. Kobieta pozostająca w związku uczuciowym z mężem, partnerem lub konkubentem składając na komisariacie doniesienie o „maltretowaniu” nie jest zobowiązana dostarczyć najmniejszego dowodu (wyników obdukcji obrażenia ciała), ani też przedstawić ani jednego świadka. Wystarczą słowa o usłyszeniu groźby użycia siły przez partnera, doświadczenie szarpaniny, dosłownie rzecz biorąc: stłuczony talerz i krzyk partnera. Znany jest przypadek postawienia w stan oskarżenia na podstawie doniesienia teściowej, która słyszała podniesiony ton zięcia przez telefon(!) Interwencja policji jest natychmiastowa i dobrze o tym wiedzą szczególnie te perfidne panie, które szukając pomsty na mężczyźnie zeznania składają w piątek po południu. Zdezorientowana ofiara – wciąż mowa tu o fałszywych doniesieniach – zostaje tego samego dnia niemal w kapciach wrzucona na dołek. Kolegium zbierze się dopiero w poniedziałek i wysłucha racje obu stron, przy czym jedna po 3 dniach spędzonych za kratkami i poradach adwokata, że w świetle tego prawa „nie warto kopać się z koniem” – najpewniej przyzna się do wszystkiego.

Jedynym sposobem uniknięcia werdyktu skazującego może być film z monitoringu, zeznania świadków oskarżonego że owego dnia o danej godzinie nie był w stanie „maltretować” partnerki jako że fizycznie znajdował się w zupełnie innym miejscu. To ofiara zmuszona jest udowodniać swoją niewinność, bo sąd orzeka według prawa, które „pozytywnie dyskryminuje”. Trzeba więc wdać się w wojnę nerwów i nakładów finansowych, aby wybronić się z oskarżenia. Tymczasem kobieta niemal automatycznie dostaje zapomogę w wysokości najmniej 426 euro (kwota zmienia się w poszczególnych regionach autonomicznych), prawo dysponowania na wyłączność lokalem mieszkaniowym (nawet jeśli nie miała żadnych praw majątkowych do

domu) i prawo wyłącznej opieki nad dziećmi. W dalszym postępowaniu może ubiegać się o szereg najróżniejszych „alimentów” począwszy od comiesięcznej kwoty tytułem wynagrodzenia szkód aż po wyprawkę dla dzieci, ich darmowe żywienie w szkołach a nawet kwoty potrzebne do opłacenia ich studiów.

Można więc pytać, któż nie uległby pokusie łatwego wzbogacenia w społeczeństwie zmagającym się ze strukturalnym bezrobociem na utrzymującym się poziomie 14% (16% dla kobiet w 2018 r.)? Która z kobiet zmęczona brakiem perspektyw, albo kłótniami w związku a przy tym mająca widoki np. na następny udany związek oprze się pokusie skorzystania z tego rogu obfitości hojnie wypłacanych zapomóg? Gdy dodamy jeszcze do tego, nie tak przecież rzadką chęć pomsty na niewiernym mężu – oferta, aby wrzucić go za kratki i puścić w skarpetkach pozostaje na wyciągnięcie ręki. Jedyne do czego zobowiązana jest kobieta, to złożenie dwóch oświadczeń wzajemnie niesprzecznych najpierw na komisariacie a potem przed sądem. Oczywiście, i tu znów nie wolno o tym mówić na głos, z tak skonstruowanego prawa korzystają chętnie nowi obywatele Hiszpanii (małżeństwa marokańskie) żerując na starzejącym się społeczeństwie.

Narzuca się pytanie – jak to możliwe, że kobiety nie boją się składać fałszywych doniesień, wszak prawo powinno chronić przed zniesławieniem? Ale nie prawo „pozytywnie dyskryminujące”, które w oparciu o ideologię gender uparło się widzieć w mężczyźnie potencjalnego przestępcę a wszelkie rozmowy na temat fałszywych doniesień ze strony kobiet obłożyło tabu.

„Statystyka mówi zaledwie o składaniu 0.01% fałszywych doniesień” – tak brzmi mantra wszystkich stowarzyszeń feministycznych, dziennikarzy liberalnych i lewicowych, którzy z tej frazy uczynili młot na każdego, kto odważy się zakwestionować te dane i wziąć w obronę niesłusznie oskarżanych mężczyzn. A przecież gołym okiem widać, że prawo o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet demoluje życie masie niewinnych mężczyzn, ojców, rozbija rodziny i pozbawia majątku gromadzonego latami.

*Smutnym skutkiem ubocznym rozpowszechnienia ideologii gender i szalonego feminizmu jest „konsumpcja” pornografii. W Hiszpanii jest ona największa w porównaniu do innych krajów Europy*

Problem w tym, że owe ponoć 0,01% fałszywych zeznań dotyczy – jak mówi słynna adwokat poszkodowanych mężczyzn, Yobana Carril – tylko i wyłącznie owych nielicznych

mężczyzn, którzy stoczyli wygraną walkę w procesie o fałszywe oskarżenie: wnieśli pozew, wygrali sprawę, a kobieta została prawomocnie skazana. Trzeba mieć sporo szczęścia, aby spotkać adwokata, który podjąłby się walki z systemem i narażał swoją karierę. Owe zakłamanie dane na temat prześladowania mężczyzn w Hiszpanii poruszyła dopiero odradzająca się w Hiszpanii prawica, a dokładnie partia VOX, która walkę z genderową aberracją uczyniła jednym ze swoich sztandarowych punktów programu. Trudno się dziwić więc, że w grudniu w regionie Andaluzji byli sprawcami prawdziwego, politycznego trzęsienia ziemi na Półwyspie a w kwietniu jako piąta siła weszli wreszcie do Kongresu Deputowanych.

Razem z prawdziwym „wybuchem” popularności partii VOX i ich niepoprawnych politycznie projektów programowych wyszły na jaw szokujące dane, że tzw. „chiringuitos” czyli ponad 2.270 stowarzyszeń feministycznych działających w samych tylko 8 małych prowincjach jednego regionu w powiązaniu z rządzącą PSOE ssą miliardy dotacji z funduszy państwowych i unijnych. Jakim cudem zaledwie 768 gmin regionu Andaluzji może pomieścić aż 2.270 stowarzyszeń typu „Federacja Postępowych Kobiet”, „Federacja Kobiet Rozwiedzionych”? Biznes skupiający tysiące ludzi, którzy zajmują się indoktrynowaniem, szkoleniami antyprzemocowymi i warsztatami feministycznymi jest branżą, która tylko z definicji miała być przeznaczona do ochrony i pomocy ofiarom przemocy. Najnowsze dane, w co aż trudno uwierzyć (a o których wspomina VOX) pokazują ponoć, że zaledwie 2% środków było wypłacanych rzeczywiście na rzecz poszkodowanych, maltretowanych kobiet podczas gdy całe 98% służyło obsłudze programów, szkoleń i wypłat dla członkiń tych stowarzyszeń. Ktokolwiek więc raczy poddać w wątpliwość słuszność prawa, które ustanowił Zapatero (sam siebie nazywający „feminista”) od razu staje się wrogiem publicznym i ością w gardle Lewiatana, który pod hasłem „wyrównywania nierówności płciowych” wzbogacił rzesze postępowych kobiet i mężczyzn.

Paradoksalnie też Hiszpania zajmując 5. miejsce w sławetnym rankingu sporządzonym przez Georgetown Institute For Woman za rok 2016 pod względem praw i bezpieczeństwa, jakim cieszą się tam kobiety pozyskuje jednocześnie ogromne kwoty z Unii na rzecz „wyrównywania nierówności płciowych” i mowa tu o 24 miliardach dotacji z UE. Jednym słowem kraj, w którym najlepiej urodzić się kobietą (5 miejsce na świecie!) jest krajem wymagającym wyjątkowo wielkich nakładów finansowych na rzecz polepszenia życia kobiety. Któż ogarnie taką

logikę? Najciekawsze przy tym, że ilość otrzymywanych subwencji i środków dla wspomnianych stowarzyszeń feministycznych zależy wprost proporcjonalnie od liczby doniesień o „maltretowaniu”. Czy wypada się teraz dziwić, że nikt nie jest zainteresowany wiedzą ile z tych zgłaszanych aktów przemocy jest prawdziwych a ile fałszywych, skoro wszystkie one napędzają ogromny biznes? Chyba za mało informuje nas się o tym, kto korzysta na szaleństwach napędzanych gender studies.

Dziennikarze zajmują się tym owianym tabu tematem tylko przy okazji spektakularnych zjść. Przykładowo kobieta zrobiła swojej córce „makijaż” napaści seksualnej ojca i odbyła tournée po wielu telewizjach wnosząc o zaostrenie kar przeciwko „macyzmowi”. Stała się tym samym rozpoznawalną ofiarą rzeczzonego bestialskiego heteropatriarchatu. Ginekolog zmył jednak córce gąbką rzekome ślady gwałtu, a personel medyczny nagłośnił sprawę fałszywego doniesienia. Najdziwniejsze, że ani kobieta, ani występująca z nią adwokat nie wróciła do tych samych stacji telewizyjnych aby rzecz wyjaśnić. Sprawa jak zwykle rozeszła się po kościach. Problem nie tkwi bowiem w prawie, ale w ludziach którzy przywykli już żyć w pewnego rodzaju systemie totalitarnym: o kobietach mówi się tylko dobrze lub wcale. Zabroniona jest jej krytyka bo z definicji prawa kobieta jest na przegranej pozycji i trzeba pomóc wyrównać jej szanse. Gdy w styczniu w telewizji Telemadrid zaproszony kryminolog podał służbowe dane, że w 2018 r zmarło aż 57 dzieci z rąk matek, lub macoch a tylko 10 z rąk mężczyzn rozpętało się istne piekło bo obecne w studiu kobiety, prezenterki wpadły w amok oburzenia i trzeba było program przerwać.

Mężczyźni hiszpańscy zwyczajnie zaczynają się bać życia u boku roszczeniowych kobiet. Smutnym skutkiem ubocznym rozpowszechnienia ideologii gender i szalonego feminizmu jest „konsumpcja” pornografii, w Hiszpanii największa w porównaniu do innych krajów Europy. Częściej też wybierają na partnerki Hispanoamerykanki, przybywające do Hiszpanii w poszukiwaniu pracy i widoków na udany związek (związek z latynoskim macho jest dla nich o wiele bardziej ryzykowny).

Panujące przykłady myślenia totalitarnego wyłapują jeszcze media społecznościowe prezentując „perełki” genderowej poprawności: Na pierwszej stronie dziennik El Pais z 29 października 2018 r zawiadamia „Matka UMIERA z dzieckiem w ramionach rzucając się z balkonu” ale parę miesięcy wcześniej ten sam dziennik z 3 lutego 2018 roku zawiadamiał: „Ojciec ZABIJA swoje dziecko rzucając się z nim z balkonu szpitala de la Paz w Madrycie”. Różnica w doborze słów czyni ten sam czyn bestialstwem ze strony mężczyzny i wypadkiem (ocieplonym czułym okolicznikiem „w ramionach”) ze strony kobiety.

Tak wygląda post-zapaterowska Hiszpania, którą paradoksalnie przewidział Orwell pisząc „Rok 1984” po doświadczeniach Wojny Domowej, w której – przypomnijmy – brał udział po stronie zjednoczonej lewicy hiszpańskiej. Można więc zapytać, czy przypadkiem Wielka Siostra nie czuwa już nad Półwyspem? I nie trzyma mężczyzn zbyt mocno za gardło? Oficjalne statystyki mówią, że każdego dnia w Hiszpanii życie odbiera sobie 10 osób (3,600-3,700 w ostatnich latach) przy czym tu akurat nie ma parytetu bo z owych 10 aż 7 to mężczyźni. Smutne? Ale jakże prawdziwe. Ratuj się Don Kichocie, zanim walkę z wiatrakami zastąpi walka z Dulcyneami...

*Małgorzata Wołczyk*

Powyższy tekst jest rozszerzoną wersją artykułu, jaki ukazał się w dzienniku „Rzeczpospolita”. Publikujemy go za uprzejmą zgodą redakcji, jak i samej Autorki

Foto: Wikimedia Commons/Gaudiramone